

~~Węgranie z~~ J. P. M. (ur. 1921)

~~luty 1989~~

JM

Super - anonimowe.

I/986

ARCHIWUM WSCHODNIE

248

Nazywam się ... Mówienie na te tematy jest dla mnie rzeczą fizycznie niemożliwą. Na trzeźwo. Jak wypiję parę koniaków, wtedy może pękne, jak to się mówi. Łeb mi potem pęka, czuję się źle. A poza tym to są rzeczy okropne, okrutne, przerażające. Nie nadające się w ogóle do opowiadania, jeżeli się nie chce się nienawiści. A ja nienawiści się nie chcę.

Do użytku wewnętrznego: nazywam się Jerzy Michotek, pochodzę ze Lwowa, tzn. urodziłem się w Częstochowie w 1921 roku, ale gdy miałem 3 miesiące poszedłem po rozum do głowy i pojechałem do Lwowa. I do roku 1939, kiedy mnie aresztowano, po tak zwanym pierwszym wyzwoleniu, do tego momentu byłem lwowiakiem. A potem, diabli wiedzą, stałem się byłym lwowiakiem.

Rodzice moi nie pochodzili ze Lwowa, natomiast całe moje rodzeństwo urodziło się poza Lwowem. Lwowiakami są ci, którzy chcą lwowiakami być z punktu widzenia ich stosunku do miejsca, w którym się wychowali. Ja zawsze mówiłem, że jestem lwowiakiem i to mnie zresztą zgubiło.

Gdy miałem lat 18, dostałem 10. Ponieważ powiedziałem, że Lwów ostatni raz był w rękach/wschodnich w roku 1340, i potem koniec, nawet jeżeli był zabór, to był to zabór austriacko-węgierski. Okazuje się, że przez Kolomana, który miał 5 lat, a jego żona, ~~z~~ królowa węgierska, miała 3 lata, byliśmy poddani austriackimi węgierskimi przez ileś tam lat i to posłużyło jako temat do rozbiórów. Jeżeli to jest dla kogoś śmieszne, to dla lwowiaków nie za bardzo.

W roku 1939 dowiedzieliśmy się, że jesteśmy rdzennymi Ukraińcami. I teraz dochodzimy do pojęcia Ukrainiec, które powstało w połowie XIX wieku. Kto wie, czy nie jako jeden z pierwszych użył tego określenia Słowacki. Słowo Ukrainiec powstało ukute

metr. -

przez c.k. /cesarsko-królewskich/ austro-węgierskich urzędników. Oni mówili: Ukraina, u krajna - to znaczy u kraja państwa znajdujący się, u-krajan, znaczy Ukrainiec. Jest to pojęcie polskie, nadużyte przez Austriaków i w rezultacie zaczęła się rodzić narodowość, która pochodziła od Rusinów. Rusini to był wspaniały naród, były ziemie ruskie, raczej Ziemia Czerwieńska, panowali na nich jacyś książęta, ale czuli się poddanymi Polski, chętnie współpracowali z Polską. To było trójprzymierze - Polska, Litwa, i Ruś. A gdy zaczęto siać to, co się nazywa divide et impera, i właśnie od tego rozpoczęli swą działalność austro-węgierscy urzędnicy, spowodowali sytuację przedziwną. ~~Wianowicie o tyle, o ile~~ kiedyś na dole ludzie dogadywali się - Rusini, Białorusini, Czerwonorusini, nawet Rosjanie, których było bardzo mało, z Polakami żyli idealnie, jak Żydzi, jak Niemcy mieszkający na tym terenie - w ogóle Lwów był tygłem narodowości, to jest określenie Anglików. I w tym tyglu ludzie nauczyli się współżyć do tego stopnia, że ludzie dziś powinni brać przykład ze Lwowa. Jak można w tej hurmie narodowości znaleźć wspólny język i wspólną moralność, nie wahać się ~~wyż~~ użyć słowa moralność. Bo każdy każdego wychowywał na każdym kroku. I oto do tego przedziwnego miasta, które przez okres 599 lat było jeden, jedyny raz zdobyte i to przez... już widzę, jak będziecie ryczeć ze śmiechu - przez Szwedów, ale nigdy przez Ukraińców, Rusinów, Rosjan. W tym mieście, w ogóle w Grodach Czerwieńskich stworzyła się wspólnota narodów. Dlaczego np. Żydzi ściekali z całego świata do Polski? Ponieważ w Polsce bez wątpienia była największa tolerancja w Europie /dalej rozważania historyczne/.

Mój ojciec był fabrykantem cukierków, która nazywała się "Wytwórnia Cukiernicza F. Michotek - ciastka wszelkiego rodzaju, herbatniki, pierniki, biszkopty, czekoladki, pralinki, ciasto strudlowe, sucharki karlsbadzkie, keksy, wafle, andruty!" Ojciec się tym zajmował, no a

ja uczyłem się. Najpierw w VIII Gimnazjum im. Kazimierza Wielkiego, a potem przeszedłem do Gimnazjum X im. Henryka Sienkiewicza. Mój rocznik, 21, trafił dokładnie na reformę szkolnictwa, od 36 roku stworzono liceum po 6-klasowym gimnazjum. Przedtem było 8-klasowe gimnazjum. Ponieważ ja byłem w gimnazjum matematyczno-przyrodniczym, a ani matematyka, ani przyroda nie były moim największym konikiem, więc zgłosiłem się do humanistycznego Gimnazjum X, ponieważ interesowałem się tym, skończyłem też polonistykę po wojnie we Wrocławiu.

Jest rok 39, uczy mnie profesor Nanke, wspaniała historyk. W moim liceum uczy mnie pani profesor ^(Emilia) Kurdybachowa, a której piszę w książce. Zmarła bardzo niedawno. Dowiedziałem się od niej wielu rzeczy o których nie umiem mówić na trzeźwo.

Wszystko, co mówię, wymaga dowodu, ale dowodu nie będzie, na to się dowodu dostarczyć nie da. W X gimnazjum bardzo lubiłem Tadzia Furgę. Używam tylko nazwisk osób, które nie żyją, ją nazwano panią Kundzią, wspaniale uczyła historii, dzięki takiej nauce historii dostałem 10 lat. Tenże Tadzio Furga znalazł się gdzieś w Zesyr /ZSRR/ i tam on, człowiek o anielskim sercu w pewnej chwili nie wytrzymał jakiegoś bojca, jeżeli ktoś nie wie co to jest bojec, to jest taki żołnierz, który tam pilnuje, po prostu żołnierz. On mu tak dokuczył, że Tadziego złapał, podniósł w powietrze i rzucił do kotła z gotującą się zupą. W rezultacie facet się w tej zupie ugotował, natomiast Tadzia Furgę rozerwali tam na strzępy. Jest to jeden z wypadków, które świadczą o tym, że człowiek, który był naprawdę człowiekiem dobrym, bo go znałem, dwa lata chodziłem z nim do gimnazjum - tenże Tadzio Furga gdzieś tam został wywieziony i tak mu dopieczono, temu złotosercemu chłopakowi,

P. Kurdybachowa?
↓

tak mu zależli za skórę, że złapał tego człowieka, podniósł w powietrze i wrzucił do wody i ten się ugotował, w zupie. Niech to szlag trafi, przerażające. Chciałbym zapytać, w jaki sposób ktoś na trzeźwo jest w stanie o tym mówić. W

Jest parę rzeczy, o których nie chcę mówić. Jest parę rzeczy w moim życiorysie zafałszowanych. Nie dlatego, żebym nie lubił prawdy, tylko z konieczności. W tej chwili we Lwowie znajduje się trzech moich kolegów, z których każdy żyje pod obcym nazwiskiem z tej przyczyny, że pod swoim by dawno nie żył. Żyjąc nie pod swoim nazwiskiem miał inne znajomości, inne koneksje, inne rodowody, innych krewnych, przyjaciół, zwarować można. Wszystko inne. Jak ja mogę użyć ich prawdziwego imienia i nazwiska? Wkopię ich i nie wiem, jak się do tego odniosą obecni władcy Lwowa. Mnie absolutna dekonspiracja nie bawi.

Nie można bezboleśnie użyć dowolnego nazwiska. Mam znajomego, który we Wrocławiu w roku 46 zobaczył mnie na ulicy i powiedział: nareszcie znalazłem kogoś, kżo mi odpowiada, słuchaj, będziemy robić PSL. Zapytałem: co to jest PSL? To jest Polskie Stronnictwo Ludowe, mikołajczykowskie, antyrządowe. Ja wtedy wróciłem po 6,5 latach zza Kręgu Polarnego. Powiedziałem: coś ty, zidiociał? Ja rozumiem - mieć 10% szans, mieć 1% szans, jeden promil szans, ale tu-tu jest zero, przecinek, siedemnaście zer szans! Powiedział: ktoś to jednak musi robić. I dał mi 3 dni żebym się zastanowił. Ja mu powiedziałem: po trzech dniach powiem to samo. I po 3 dniach poszedłem do niego, wyłącznie po to, żeby mu powiedzieć, że się nie zgadzam. Ale on już nie żył.

On właśnie opowiadał mi o legendarnym facecie z Drohobycza ^{w Polsce} chyba, o człowieku zrzuconym/ze spadochronem, o cichociemnym, ~~zprzeżyłym~~ no wiadomo, cała legenda.

I potem ja szukałem tego faceta według nazwiska i wpadł mi w ręce wiersz, podpisany przez niego: Tadeusz Chciuk. Nie wiedziałem, że pseudonim ~~Wiat~~^{Celt}, pod którym została napisana cudowna książka "Biali kurierzy", to jest Chciuk. Że pan Kwaśniewski, że jeszcze wielu innych to ciągle był Chciuk. Tenże Chciuk był cały czas na Zachodzie, uciekł tam ze lwowskiego, niby czym tyzykował? on osobiście niczym. Ale gdyby on pisząc tę swoją książkę zdekonspirował się jako Tadeusz Chciuk a nie jako Celt, to by mógł narazić tam ~~swoich~~ znajomych w Polsce, może we Lwowie, może w Drohobyczu, nie wiem. Kazimierz Wierzyński to jest ~~zork~~ drohobyckie dziecko. Więc Chciuk mieszkając w Anglii, w Ameryce, w Australii, używał pseudonimu. Więc i ja boję się, że mogę wkopać straszne ilości ludzi, mieszkających we Lwowie, jak i w Polsce. Są ludzie, którzy po dziś dzień kryją się ze swoją przeszłością, okropna rzecz.

Bałbym się więc dekonspiacji, zwłaszcza że moja osoba jest jakoś znana, a nawet popularna. Co by mnie czekało, to głupstwo, ale co innych? Takich świństw się nie robi, szczególnie jeżeli jest się lwowiakiem.

Moim konikiem jest moralność lwowska. W takich przypadkach przypominam sobie, jak mój kolega dworował sobie ze ~~świ~~^{świ}fra lwowskiego, wariata. Tych wariatów było dość dużo, a niejeden obsceniczny, a wszyscy bardzo fajni. On sobie z niego żartował, dokuczał mi trochę. W pewnej chwili olbrzymi pan, który przechodził, położył mu rękę na ramieniu, a łapę musiał mieć bardzo ciężką, bo mój kolega się przygiął i zbladł, i powiedział: a może pan by sobie ze mnie pożartował? te żarty stroić? Mój kolega powiedział: przepraszam, a ten ~~na~~^{to}: mnie? za co? Wyciągnął z kieszeni 10 groszy, to się nazywał szóstak we

Lwowie - i powiedział: pójdiesz do tego pana, oddasz mu i powiedz: przepraszam pana. Jeżeli każdy wychowywał każdego na każdym kroku, to powoli rodziła się rzecz, która się nazywała moralność lwowska. I wychowani w tej moralności lwowskiej ludzie wiedzieli, że jest parę grzechów głównych, parę zasad, których łamać nie wolno. To znaczy: nie wolno bić słabszego, nie wolno naśmiewać się z nieszczęśliwego, nie wolno nie uszanować kobiety; jak w tramwaju jakiś ~~x~~chłopak nie ustąpił miejsca kobiecie, to cały tramwaj zastanawiał się czy chory, czy wariat, czy nie ze Lwowa. I tylko takie wychowanie daje po latach obrońców Lwowa, obrońców ojczyzny, ludzi moralnie na poziomie, ludzi mówiących prawdę, ludzi prawych, uczciwych, porządnych. To, co mówię, dzisiaj stawia znak równania między tym, co powiedziałem, a naiwnością, głupotą, nieumiejętnością życia itd. Podczas gdy u nas kłamstwo było wytłumaczalne wyłącznie albo przez szubrawstwo, albo przez tchórzostwo. Dzisiaj ten kto nie kłamie jest niedorozwinięty, bo z kłamstwa, mądrego, inteligentnego kłamstwa zrobiliśmy sposób na życie. Na życie jakie takie, na życie znośne, na życie... socjalistyczne.

Wróćmy do mnie. Mam 18 lat, jestem po maturze. Cała trudność polega na tym, żeby facetowi, który się nade mną nachyla, wytłumaczyć, że Lwów w życiu nie był wschodni. Od 599 lat. Dostałem dość porządnie w kręgosłup /postrzał/. Aresztowany zostałem ~~po tym~~ ~~x~~ jak powiedziałem ~~x~~ co miałem do powiedzenia. Ta sytuacja jest w moim życiu ~~zaskak~~ zachachmęcona, wolałbym o niej nie mówić. Miałem sytuację taką, że przerzucałem przez północ Polski ludzi na zagranicę, żeby mogli wyjechać. I dostałem w kręgosłup, znalazłem się w więzieniu, polskim, bo wtedy nic radzieckiego prócz żołnierzy radzieckich nie było na naszych terenach. Nie uwięzili, byłem w szpitalu.

Wtedy nachylił się lekarz, który w sposób niesłychanie ^{spokojny} mi tłumaczył, że u nas, w Sowietckim Sojuzie, i tak dalej. To był Rosjanin. Więc mu powiedziałem: w jakim Sowietckim Sojuzie? Zacząłem mu tłumaczyć historię, a to kosztuje. Gdzie był ten dzpital - zostawmy tę historię na boku. A resztę to już oni mi doprawili.

Ja bym zapewne jakoś z tego wylazł, ale jak mi doprawiomo jak trza... Dolali mi. Zbili jak trzeba. Jestem przeciwnikiem mówienia o metodach, które na całym świecie są stosowane, we wszystkich więzieniach i we wszystkich policjach świata. ~~xxxx~~ ~~xxxxxxkiedyxxxxkrajxk~~. I w milicjach też. Leje się jednakowo, metodycznie, żeby nie było śladów, żeby nie było znaków, i nie ma w tym przejawów żadnej narodowości. Ani nawet systemu. Leje się w sposób jednakowy, fachowy, bez mała uczoney. Natomiast jeżeli bicie człowieka wszędzie jest mało przyjemne, od Ameryki, po Chiny; jeżeli ~~xxxxxxx~~ leczenie jest względnie jednokowe, od Ameryki po Chiny, - to jeżeli chodzi o wschód, to jest to rzecz odmienna. I tu dochodzimy do sedna. Mnie się wydaje, że wszelka przemoc fizyczna ma najmniejsze znaczenie, jeżeli chodzi o degrengoladę psychiczną uwięzionego. Największe, najstraszliwsze spustoszenia tworzy parę elementów: być może najpoważniejszy - strach. Siejąc strach, tak jak się sieje zboże. Najpierw mówią: żyt' budiesz, jebat' nie zachociesz. Potem leją jak trzeba, są to fachowcy. To lanie, czy to na Pawiaku, czy w Montelupich, czy na Łubiance, czy na Łąckiego, na Brygidkach we Lwowie, czy na Zamarstynowie - wszędzie jest jednakowe. Jednakową ma wątrobę człowiek gdy go leją w wątrobę, jednakowe ma nerki, gdy go leją w nerki, jednakowy ma tyłek, jak go leją w tyłek, jednakowy ma łeb, jak go leją w łeb; bo mnie leli w łeb. To nie jest najgorsze. Te dalsze elementy: strach, głód, chłód, brak powietrza. Brak powietrza. Jako reguła w 39 roku

w więzieniach cele były przepekniane, powiedziałem, 4- 5-krotnie. Brzmi to jak gdyby normalnie, no, jest 4, 5 razy więcej osób w celi. Ale jeżeli chodzi o powietrze, to już nie jest normalnie. Już nie ma czym oddychać. I całe więzienia - a byłem w 9 więzieniach - chodzą od krzyku wo-zdu-cha!!! wo-zdu-cha!!! Jak się jedna cela buntuje to to nie jest problem, ale jak się całe więzienie buntuje, to to już jest problem. I wszędzie z celi do celi leci ten sam wrzask: wo-zdu-cha! Wszyscy chcą oddychać, ludzie się po prostu duszą.

Pamiętam te nagie falujące torsy, tych ludzi, którzy nie mają czym oddychać. Pamiętam profesora, to było tylko do mojej wiadomości, bo każdy z wywożonych starał się być raboczym klasem, to znaczy każdy starał się trzeć rękami o beton, żeby w momencie jak powiedzą pakażi ruki, żeby te ruki wyglądały, jakby on wozik taczki przez całe życie. A byli to w istocie profesorowie uniwersytetu, profesorowie politechniki, starostowie, naczelnicy miast, policjanci wysokiej rangi, wojskowi wysokiej rangi - nikt się nie przynawał do tego, lekarze, administracyjni urzędnicy dużego formatu. Lekarz, który mnie leczył, który mi wpychał jakieś tabletki w gębę bo miałem zapalenie opon mózgowych - o tym dowiedziałem się dużo, dużo później - nie mam pojęcia, kto to był. Ktoś mi wpychał te tabletki - nie wiem kto. Ktoś mi pomagał słowem - nie mam pojęcia kto. Ktoś przekupywał tych urkaganów, urka to więzień kryminalny, myśmy mówili urkagany, żebym ja mógł czymś oddychać, żeby wzięli mój zewłok i podnieśli do krat, żebym ja w ogóle mógł oddychać. Czym były świeże powietrze wtedy dla człowieka, którego do tej kraty przysunięto, a przy tej kratce były właśnie te urkagany i odpychali obcasami tych pnących się ku powietrzu ludzi, czym było to powietrze, nikt nie jest w stanie sobie wyobrazić tak długo, jak długo ktoś nie złapie

za gardło, nie zacznie dusić, aż się zacznie wrzeszczeć. Dlatego te wszystkie cele krzyczały razem wo-zdu-cha, i zaczęli wypuszczać w nocy na pógulkie, na przechadzkę. Ja nie bardzo mogłem chodzić, więc mnie wlekli.

Chronologii nie będziemy robić, ponieważ musiałbym zdekonspirować straszne ilości osób.

Z osób nieżyjących pamiętam kogoś z Lubomirskich, zresztą przykro mi powiedzieć, ale się strasznie później zeszmacił, może to zresztą nie był Lubomirski, może udawał. Wszelkie dowody nie istnieją. Gdyby istniały przez te 40 lat, to były to albo powód do wyroku, albo powód zbitcia pyska, powód do wywózki i tak dalej. Powód do zniszczenia.

Wszystko co jechało wtedy, mówię o 39, bo w 40 roku to już były całe wywózki. W końcu września zostałem aresztowany. Oni od razu z miejsca łapali pewne osoby, o ile się to udało. Robili to traktem północnym wtedy. To nie tym traktem na wschód, tylko na Baranowicze, Orsza, Lida, tamteży, na Kirow, Gorkij, to szło do ~~Sierzedo~~ Sierzedołagu - Siewiernyj Żeleznodorożnyj Łagier. Czyli począwszy od Kotłasu i kończąc na Workucie. Po-zornie kończąc, bo za Workutą jeszcze ciągnęły się te obozy, tylko one już nie tyle były oficjalne, ile jakieś osiedla do których trafiali ludzie. Przede wszystkim na początku miałem to zapalenie opon i byłem nie zanadto przytomny, zwłaszcza że ~~dostałem~~ wycisk, jaki dostałem, był naprawdę dość porządny. A poza tym miałem jeszcze jedną rzecz nieszczęsną. Mianowicie zdzieliłem sędziego śledczego kałamarzem w łeb. W czasie śledz-twa. Może bym nie żył, tylko uratowała mnie następująca sy-tuacja. Jest takie rosyjskie pojęcie jurodiwyj - to znaczy ~~jest taki rosyjski~~ nawiedzony, jakiś wariat uducho-wiony. Otóż w karcerze nie wolno było trzymać więcej niż troje

sutok, trzy doby. Mój sędzia śledczy był na tyle uprzejmy, że mnie trzymał 3 doby, zrobił dobę przesłuchania, i znowu 3 doby karceru; po czym znowu dobę przesłuchania i znów trzy doby. Karcer - to można każdego spytać, jeżeli o mnie chodzi to było mniej więcej metr na półtora, jakiś 3-4 metry wysokości, zakratowane okno, no i zima. I człowiek w bieliźnie. To wszystko to nie było krematorium, ale ^{do} śmierci normalnej, wymuszonej śmierci, niesposób, żeby człowiek to przeżył. Ja przeżyłem.

Po tych 9 dobach, z przerwami po jednej na przesłuchanie, było tych dób 11. Przesłuchanie polegało na tym, że człowiek siedział na nóżce od przewróconego ~~stółka~~ taboretu; jak miał wszystkiego dosyć... Ja po tych 9 a raczej 11 dobach postanowiłem powiedzieć sędziemu śledczemu, że się zgadzam na podpisanie, że jestem szpiegiem litewskim. Zwariować można, mówiłem: panie, wymyśl pan amerykańskiego, niemieckiego, włoskiego, jakiegoś ludzkiego, ale litewskiego to śmieszne po prostu; on dostał szaka, bo był przekonany, że ja z niego kpię. Zresztą, nieźle się domyślał. Więc poszedłem po to, żeby podpisać po tych 11 dobach. Jak zobaczyłem jego reześmianą mordę, jak on mi powiedział: nu kak, zmiachł? Zmiękłeś? No to się wściekłem... Aha, jeszcze mnie trzasnął kolbą rewolweru w le**ś**b. Wtedy ja wziąłem ten kałamarz i uratował mnie śmiech, dlatego mówię jurodiwyj. Jak mu przypięrnaczyłem tym kałamarzem w le**ś**b, a on trzymał rewolwer w ręku, mógł mnie zastrzelić, gdyby mnie zastrzelił, byłaby sytuacja bardzo prosta - rzuciłem się na niego, chciałem zabić, on się bronił, zastrzelił, nie ma o czym gadać. Ale on nie wyst**sz**elił... W kałamarzu - pewnie to były kałamarz jakiegoś hrabiego, podpieprzyli, - był atrament jeden czerwony, drugi niebieski. Jak mu się po pysku rozlała ta krew niebiesko-czerwono-czerwona, dostałem straszkiego ataku śmiechu. Ten był przekonany, że zwariowałem.

Patrzył na mnie jak ~~z~~ na tego juródiwego, trzymał ten rewolwer, mu się trząsał, a ja wyłem ze śmiechu, patrząc na tę jego mordę zalaną atramentem jednego koloru, atramentem drugiego koloru i jeszcze kolorem własnej krwi. Wleciało tych dwóch czy trzech bajców, bo on gdzieś runął, jak dostał tym kałama^łrzem, bo hałas się zrobił okrutny, jak zobaczyli, co się dzieje, jak zobaczyli mnie, jak ja wyję z śmiechu, to mi zaczęli doko-^{byli}pywać, ~~nie~~ przekonani, że mają do czynienia z nielichym wariatem, zresztą, bo ja wiem, chyba mieli rację. Wtedy przeszedłem zapalenie płuc. Siedziałem wtedy w adinoczce. Adinoczka to pojedyncza cela, regułą było, że siedział tam ten, kto był skazany na śmierć. W tej pojedynczej celi, jak byłem trzeci raz, po trzaśnięciu tego faceta, zacząłem sobie znaczyć doby, żeby wiedzieć. Doby znaczyłem według posiłków, czy cholera wie, miałem wtedy zapalenie opon mózgowych i płuc jednocześnie.

W karcerze było wybite okno bez szyby, i zima. Spiewałem wtedy "Kiedy ranne wstają zorze" i takie różne rzeczy, więc mieli mnie za wariata idealnego.

Nie, to wszystko się działo nie po drugim, tylko po trzecim razie, coś pokręciłem, ale byłem półprzytomny. Naprawdę półprzytomny, nie jak to dzisiaj się mówi w metaforze: byłem półprzytomny; ja byłem autentycznie półprzytomny. Więc zacząłem sobie w tej adinoczce zaznaczać, ile czasu tam byłem. I wyszło mi, że jestem tam rok i pół miesiąca, czy coś w tym rodzaju. A okazało się, że byłem niecały miesiąc. Czyli nieliche musiały być te moje bredzenia.

Jak przyszli do mnie, byłem przekonany, że mnie chcą wyprowadzić żeby mnie powiesić, rozstrzelać, czy nie wiadomo co. Musiałem nielicho wyglądać, musiałem być zarośnięty, wyglądać jak skrzyżowanie Tarzana z ludogadem. Jak przyszedł ten facet,

ja się nie dałem wyprowadzić z celi. I on mi mówił, prosił, błagał, że mnie prokurator wzywa. A ja nie. On się cofnął, zostawił drzwi otwarte: idź sam, zobacz, ja cię nie trzymam! Jakiś ludzki. Ja bardzo dużo znalazłem tam ludzi porządnych. Dawali ukradkiem papierosy, kawałek chleba. Strażnicy. Byli ludzie, autentyczni, porządni zupełnie ludzie. Zezował na lewo, na prawo, czy go kto nie widzi, że ludzki odruch, co go może zrobić podejrzanym. Ja poszedłem, gdzieś był taki jakiś, parodia prokuratora. On mi powiedział, że mój sędzia śledczy dostał wyrok. I zdaje się, że taki sam, jak ja, to znaczy 10 lat. Ten obłany dwoma atramentami.

Byłem w 9 więzieniach. Wyrok na mnie był wydany w którymś z nich. Przyszedł ktoś, zapytał: czy jest taki Michatiok, podał nazwisko w idiotyczny sposób, i dodał: nu, тебе десять. I poszedł w diabły. To był cały wyrok. Wymienił inne nazwisko, pytał innego, powiedział: no, тебе восемь. I to było wszystko. Ta trojka osławiona, co opowiadają, to nie istniejące, tego nie było, przed żadną tam trojką się nie stawało, przychodzili do celi, mówili ile. x

Jak się znalazłem tam za Kręgiem Polarnym, poznałem dziewczynę, której nazwisko po dziś dzień pamiętam, ale go nie powiem. To była Polka, która mieszkała w Charbinie. Gdzieś tam w diabły na mandżurskiej granicy. Urodziła tam dziecko. Nie mogła dla niego za nic znaleźć pieluszek i poszła ~~na~~ na drugą stronę do Charbinu, żeby dostać pieluszki. Wróciła i dostała wyrok. Nie wiem, 5, 10 czy 8, co to ma za znaczenie. To była w 1919 czy 20 roku. A ja byłem w 40 roku. I ona tam ciągle siedziała. Łatwo obliczyć. Dziecka nigdy nie widziała na oczy. Jak skończył się jej wyrok, przyszedł ktoś, otworzył drzwi jej celi czy baraku i powiedział: тебе jeszcze пять лет. I wyszedł. Ona była tam potrzebna, bo sprawowała funkcję

pielęgniarki itp. Rezultat: czterdziesty rok, a tam był 1949, facetka w życiu nie widziała swojego dziecka, poszła po pieluszki. Wtedy, kiedy ja byłem, ją zwolniono. I dlaczego nie mogę podać nazwiska. Bobym może nawet podał, miałaby teraz z 80 lat, pewnie nie żyje. Ale nie mogę, bo widziałem ogonek do niej, żeby za kawałek ~~nie wia~~ sała, bo przecież coś musiała jeść żeby wrócić do domu; jak w burdelu był do niej ogonek. No bo jak inaczej miała zdobyć prowiant na drogę? Przychodzili do niej urkagany, każdy przychodził, przynosił ten kawałek sała, swoje robił i szedł. Z syfilisem, czy bez syfilisa, trudno powiedzieć.

A drugi taki był, też nazwisko pamiętam, ale też nie powiem, bo licho go wie, - może żyje? Był ^{dyrygentem.} ~~inteligentem.~~ I powiedział: jak wrócę do domu, kupię żonie/kilo jabłek. Bo wyszedł kupić dwa kilo jabłek. Jak stanął w kolejce, to tych jabłek nie było za dużo. I w pewnej chwili podszedł w mundurze jakiś enkawudzi-
sta w sklepie i powiedział: dajcie mi jakieś jabłka. Ten pan powiedział: a co to, pan jest lepszy od nas, czy jak? Ten mu powiedział: małczy. A ten odpowiedział: taki socjalizm to mnie nie interesuje. I to go kosztowało ten pobyt razem ze mną. Zdaje się 18 lat. Powiedział: jak wrócę, kupię te dwa kilo jabłek, jak mi się uda, i przeproszę żonę, że się spóźniłem. To brzmi zabawnie, ale w wykonaniu całkiem zabawne to to nie jest. Człowiek jest dyrygentem i nie ma żadnych szans na to, żeby się zajmować swoim zawodem.

Oczywiście tam, w obozie, były jakieś akcje kulturalne. Ja dostawałem kota ze śmiechu od tej pracy kulturalnej. Ja tam śpiewałem, to jedna z moich piosenek... Napisałem tam piosenkę która później poszła przez różne łagry i ją usłyszałem jako autorstwa innego człowieka, w Izraelu. Pisałem w ruszczyźnie, od której zęby bolą, natomiast ta w Izraelu była w przepięknej

ruszczyźnie. Ona była przerabiana sto razy i w Izraelu nie protestowałem, że to moja, to znaczy że mój pierwszy pomysł.

Bardzo to wszystko dziwne, ale jeżeli może służyć za jakąś przestrożę na przyszłość, to w tym sensie, że jednym z najbardziej zasadniczych elementów istnienia tego systemu jest zacieranie śladów. Jeżeli człowiek tam coś przeszedł, to on za cholerę nie będzie tego w stanie udowodnić. Ja się dowiedziałem o historii mojego przyjaciela nie od niego samego, tylko od Sołżenicyna. Dziwię się, że nie bał się pisać o nim, bo mógł mu bardzo zaszkodzić, zresztą mu zdaje się i zaszkodził. Jest to wybitny człowiek, mój przyjaciel. Ja się dowiedziałem z Sołżenicyna z "Archipelagu Gułag" z nazwiskiem. Przecież mogli przyjść do niego, pokazać, zapytać: co tu jest o panu? same supierłatiwy? Innymi słowy: indiańskie metody, zatrzeć wszystko za sobą. Tylko że to świadectwo, które my dajemy, naoczni, niebezpieczni, to jest do obalenia przez każdego historyka. Powie: facet mógł sobie gadać, ile on ma lat? 60, 70, 80? Pieprzy głodne komety. Tylko jest zagadnienie: po co?

O moim przyjacielu wiedziałem, że miał życie zakichane. Ludzie, którzy jechali ze mną, którzy tam się ze mną znajdowali, to nie byli ludzie po prostu nieposłuszni. Ja już nie mówię: kryminalni, bo to paranoja. Oczywiście, że nie. Ale to byli ludzie nie tyle nieposłuszni, ile tacy, którzy mogli być narodowi bardzo potrzebni, korzystni. I tych trzeba było przede wszystkim zniszczyć. Profesorowie uniwersytetu, starostowie, ludzie kultury, ludzie nauki, słynni, Firleje, Kmity, Kozłowskie z tych słynnych, Lubomirskie. Byli z tych najszlachetniejszych nazwisk. Bardzo rzadko się ujawniali z tym. ~~Cyż~~ Chyba, że go wzięli jako Lubomirskiego na przykład. Inaczej on mówił: Iwan Iwanowicz i spokój, bo się bał o swoich krewnych, po drugie o znajomych, o przyjaciół.

Ze przyjdą do nich i powiedzą: a, to o was tu mówią za Kręgiem Polarnym. Biorą faceta za hals; coś jakby na Pawiaku mówił o innych. Mordeę w kubeł i ani słowa, bo nie ma innego wyjścia, to jest jedyna metoda.

Nazwiska... Wydaje mi się, że widziałem mojego kolecę, Bolka Preidla. Widziałem cały szereg znajomych osób, ale boję się powiedzieć, bo nazwisko padnie. Tak jak mi się okazało na przykład, że Halau /?/ Brenner, mój profesor, żyje. Gdybym ja w latach czterdziestych mówił w ten sposób o Halaubrennerze/?, to by przyszli w Krakowie do mieszkania, wyjęli go i tyle.

~~Pa~~ Najpierw jest tak zwany rozpridielitielnyj łagier. Czyli łagier, z którego rozdzielają na właściwe miejsca; to był przeważnie Kotłas. To były kilometry, kilometry, kilometry, kilometry drutów kolczastych, służących za korytarze. Tam się odbywał handel o życie.

Przypuszczam, że parędziesiąt tysięcy ludzi tam się znajdowało. Korytarze łączyły kolumnę z kolumną - po rosyjsku "kołonna", około 3 tys. ludzi. Nie potrafię powiedzieć, na jakiej zasadzie były wyłaniane te kolumny. Łączyliśmy się w tzw. starostwa. Ja prawie zawsze byłem starostą. Wyglądało to w ten sposób. Zarówno w więzieniu był starosta - tylko że w więzieniu o starostwo trzeba było walczyć. Fizycznie - trzeba było faceta albo zbić, albo zabić, żeby być starostą. O jakichś wyborach mowy nie było.

Caraz dalej wszystko to szło, aż dochodziło do Kotłasu, gdzie ci starostowie wsiadali ze swoimi starostwami na barki. To była rzeka Siewiernaja Dwina. Już nie pamiętam skąd, dokąd to szło, wszystko to już mi się pokręciło w głowie. W takiej barce było około 700-800 osób. I to były

te barki, które topiono na Morzu Białym. Słyszałem, że zatopiono trzy czy cztery takie barki, od ludzi, którzy mi to opowiadali. Mówili, że taką barkę wypuszczano się na morze, ona już była z góry przeznaczona na zatopienie. Potem się ją przestrzeliwało czy przebijało w bok i ta barka z 800 czy 900 osobami szła na dno. Jest to sposób zagłady... proszę sobie wyobrazić 800 osób zamkniętych pod pokładem.

Byłem na takiej barce. Pokład jest na górze, tam gdzie chodzą, a tu jest ~~20000~~ ~~70000~~ 700-800-900 osób.

Na mojej barce 5 osób potrafiło sterroryzować resztę. Jak to się działo? Wchodziła taka piątka i mówiła: ^{z podział} snimaj pitiak. Snimaj marynarku. Facet jak nie zdjął - brzdęk! łamano mu rękę. Ktoś wyskakiwał: co to jest?! To łamano mu nogę. Następny wyskakiwał - to mu wybijano oko. A potem już nie było chętnych, i chyba nie dziwota. I w ten sposób brano tylko marynarkę, i nic więcej. Potem komuś innemu brano portki. Potem ludzie przyzwyczaili się, że jeżeli mają stracić rękę, oko lub nogę, to lepiej oddać buty czy marynarkę. I tak to wyglądało. Natomiast ja byłem starostą 21 osób.

A tu 5 osób potrafiło sterroryzować 800 osób. Ja jako starosta grupy, starałem się tak dobierać członków grupy, nazywanej starostwem, żeby tam był lekarz; żołnierz-obronca, który umie bić - czy zabijać łaczej, który umie bronić; żeby był taki, co się zna na organizacji wyżywienia; żeby był naukowiec, który umie odpowiedzieć, jak należy przeżyć w takich czy innych sytuacjach. Około 20-21 osób.

W tej grupie mojej znajdował się jakiś facet, idiota, który przyjechał na występy w 39 roku z Paryża. Mówił po polsku, choć słabowato. Był paryskim niezbyt ciekawym artystą estradowym. Ja go nie chciałem wziąć, ale on się jakoś... Był Żydem francuskim. W końcu go wziąłem: to bądź, tylko

pamiętaj że tu obowiązuje absolutna reguła jeden za wszystkich, wszyscy za jednego, jakbyś się wyłamał, powiedziałem, osobiście ci wybije 3 przednie zęby, a potem będziemy rozmawiać.

Pod tym pokładem zrobiliśmy sobie kaptikę, czyli puszkę blaszaną, wypełnioną skądś zdobytym olejem, w który był wsadzony kawałek knota, który się palił. Doszliśmy do wspólnego wniosku, /że albo my musimy oddać im ten haracz, albo mówimy: nie. Zdania były różne, przeważało zdanie moje, że jeżeli popuścimy na jeden człon palca, będziemy musieli popuścić do łokcia, a potem resztę. Trzeba zrobić odpór. Mieliśmy wśród nas boksera, i to takiego, daj Boże zdrowie. Poza tym pozostali też byli piekielnie sprawni fizycznie. W pewnej chwili oni grasując, obrabowując kogo chcieli, doszli do nas. Myśmy spali trzymając się za ręce, każdy każdego trzymał za ręce. Jak jeden przycisnął rękę drugiego, to ten drugi natychmiast się budził, taki telegraf. W pewnej chwili ta piątka przyszła do nas i nastąpił ten telegraf. Zawsze był jeden czuwający - przycisnął rękę sąsiada i wstało naraz 21 osób. Kaptikka się paliła. Ten z Paryża miał... Ja miałem nóż z łyżki, zrobiony przez faceta który umiał to robić, to był trzonek łyżki zaostrzony idealnie, osadzony w drzewienku, idealny nożyk. Oni, ta piątka, zorientowali się, że sytuacja jest dla nich wyjątkowo niebezpieczna. Zorientowali się, że jestem liderem, spojrzeli na mnie i powiedzieli: pitaczok, marynareczkę zdejm, i nic więcej nie weźmiemy. Ja powiedziałem? nie, nic w ogóle nie weźmiecie. Trwało to pasowanie się oczami jak z tego wybrnąć. Zapewne bym ostatecznie tę marynarkę oddał, a idźcie do diabła, ale była wspólna decyzja: ani guzika, prawda. Więc się wahałem. Gdy się wahałem, ten Żyd z Paryża załatwił sprawę. Ten jeden z nich palnął mnie

w ramię. Ale zrobił to w ten sposób, że mnie nie uderzył jeszcze, tylko podniósł rękę jakby mnie chciał uderzyć. A ponieważ myśmy się umówili, że uderzamy w jednej sekundzie w 21 osób, to jak on podniósł rękę, żeby mnie palnąć, zresztą palnął mnie po chwili, to ten z Paryża podniósł swoją broń, drewnianą miskę, jak tą miską palnął w łeb tamtego faceta, to jednocześnie 21 osób wsadziło tamtemu w brzuch to, co miało. Ja miałem nóż, to mu wsadziłem ten nóż, a reszta czym kto mógł. W tym momencie zgasła kaptiłka. Nastąpiła szamotanina, która trwała - w powiściach pisze się ułamek sekundy, ale tak naprawdę nie trwała więcej niż półtorej sekundy i zapadła cisza. Byłem zupełnie pewien, że wsadziłem mu ten nóż. Wiedząc, że przegrywa ten, co uderza drugi, dlatego mu wsadziłem od razu ten nóż.

Zapada cisza, 5, 10, 15 sekund, faceci znikają, kompletne ciemności. Wtedy powiedziałem: to ja, żeby mnie nikt nie trzasnął, powiedziałem: zapalcie kaptikę i tych 5 nie było, ale krew była jak byk. Następnego dnia cała piątka siedziała na pierzynach, zobaczyliśmy to. Oni mieli pierzyny, bo rabowali Żydów, Żydów było dużo, obrabowali ich z diamentów, ze złota, jak basze siedzieli na pierzynach, ~~jakx~~ Oczom własnym nie wierzyłem - przecież ja na pewno wsadziłem mu ten nóż. Ale następnego dnia było ich tylko 4 - wpuścili tamtego przez okienko do rzeki, Siewiernaja Dwina.

Opowiadam o tym, ponieważ chcę pokazać, jak 5 osób może bez żadnego trudu sterroryzować ~~8~~ ^{osób} 787, jeżeli dobrze pamiętam.

Spód barki to była niecka. Środkiem szedł trap, którym się wychodziło na górę. Była taka dróżka i po kolei wyzywali te starostwa, po jedzenie, myśmy szli środkiem, połączali i wracali. Co jeść nam dawali, żebyśmy skisł, nie pamiętam.

Bicie nie jest najważniejsze. Bicie ma minimalne znaczenie, to powinien wiedzieć każdy kat. Co jest efektywne? Jeżeli chodzi o mnie, najbardziej efektywny jest chłód. Człowiek może być nieogrzany, rok, dwa, trzy. Człowiek może umrzeć na mrozie i nie wiedzieć co to jest chłód. Może umrzeć z głodu i nie wiedzieć, co to jest głód, umrzeć po miesiącu nie jedzenia w ogóle. Bo co to jest chłód naprawdę, co to jest głód naprawdę może wiedzieć tylko człowiek, który z tym chłodem i głodem para się rok, dwa, trzy. Wtedy powieki - jeżeli chodzi o głód - podciera się palcami, podciąga się, bo inaczej oko się nie otworzy. Ja to miałem sam. ~~Otwierał~~ sobie oczy przy pomocy palców. Twarz sięga poza kości policzkowe, jest spuchnięta do tego stopnia, że kości zostają na miejscu, a twarz się rozszerza dalej. To jest sama woda. Nie wiem, chyba parę litrów wody trzeba by spuścić z człowieka. Ja tak wyglądałem. Jeżeli chodzi o piszczel na nodze, to człowiek może włożyć palec na długość pierwszego człona palca, zagłębić parę centymetrów w skórę, jest w tej popuchliznie taka dziura.

Chłód polegał na tym, że jak rozpalono ognisko, to człowiek mógł sobie spalić nogi, kolana, ale się nie ogrzał, nie dał rady.

To jest największa tortura, jaką ja w życiu znam, ale to musi trwać rok-dwa. I tylko wtedy człowiek staje się z plasteliny. Mówił tu nazwisko Lubomirski. Ja widziałem człowieka, który tańczył za kawałek chleba. Podobno to był Lubomirski, on tak mówił. Było to straszne widowisko. Facet mu dawał kawałek chleba wielkości powiedzmy dwóch palców i powiedział: nuż, tancewaj, ja тебе dam. Ten wyginał się na tych swoich koślawych, bidnych, nie trzymających go nogach w jakimś takim idiotycznym niby-hopaku, a ci wyli

ze śmiechu. On ~~tańczył~~, żeby dostać ten kawałek chleba. I już mu miał dać ten kawałek chleba, ale sobie włożył w usta i zżarł. Tamten z nieludzkim skowyttem rzucił się na niego, a on go kopnął w twarz, ten się przewrócił i spokój. Załatwienie sprawy. To jest możliwe, jeżeli człowiek rok, dwa, trzy nie ~~dojada~~, albo nie ma możliwości ogrzać się.

Barką, nie mam pojęcia, gdzieś tam dopłynęliśmy. Potem poszło, to była tajga, nie, tundra, jak oni mówili połutundra. Przyjechaliśmy, powiedzieli: tutaj będziecie mieszkać, macie ileś tam dni na zbudowanie sobie miejsca, w którym będziecie mieszkać. Tam był tylko las, ale las nietypowy, północny, niskie krzewy. ~~My~~ Dali narzędzia bez obuchów. Dali siekierę - trzeba było wziąć, znaleźć człowieka, ja miałem cieślę w ~~starostwie~~, zrobić uchwyt, włożyć to w uchwyt, zrobić coś w rodzaju siekiery, żeby ostatecznie zrobić coś w rodzaju siekiery. I powiedziałem do tych naszych 21 osób, że tylko teraz możemy sobie zrobić to mieszkanie, bo później już nam nie dadzą tego zrobić. I myśmy to zrozumieli, w odróżnieniu od innych osób, które te 4 czy 5 dni przebablowały i potem znalazły się w sytuacji rozpaczliwej.

Myśmy znaleźli się w dość wygodnej sytuacji. Przede wszystkim kopaliśmy ziemię, chcieliśmy zrobić ziemlanę. Znaleźli się ludzie doświadczeni, którzy wiedzieli, jak zrobić podłogę, żeby ona nie była bezpośrednio na ziemi, jak zrobić te nary z półokrągłaków, żeby można było się położyć, itd, itd. Tak się tworzyła zona kałonny, czyli kołumny, 3-4-5 tysięcy ludzi. ~~xxxxxxkniętyxxxxxx~~. Najpierw był zamknięty bruzdą, jeżeli ktoś przez nią przeszedł, strzelano i zabijano. Później to były druty, jakieś zapory, nie pamiętam. Zaczynało się życie. Znalazł się ktoś, kto nazywał ~~kompatrudu~~ - pomocznik naczelnika po trudawym diekam, czyli

zastępcę naczelnika do spraw pracy.

Po pewnym okresie czasu nauczyłem się, że nie wolno pytać. Pytanie jest na pograniczu śmierci. Więc o nic nie pytałem. Jak faceci grali w karty zrobione z chleba i gazety - warstwa gazety, potem cieniutka warstwa przeżutego chleba, warstwa gazety, warstwa chleba, w rezultacie tworzyły się karty ~~z~~ zupełnie, zupełnie - i jeden z nich przegrał prawie wszystko, łącznie z fufajką. A bez fufajki jak tam człowiek wyjdzie na te 40-50 -60^o mrozu, to pisz na Berdyczów. Wtedy on zagrał o pompatruda. Ja nie bardzo wiedziałem, o co chodzi, jak w ogóle można zagrać w karty o zastępcę naczelnika do spraw pracy. Ale on o niego zagrał. I przegrał. W związku z tym, ponieważ był człowiekiem honorowym, ~~on~~ wstał, wziął siekiere, przeprosił tamtego i trzasnął, uciął mu łeb, który zawisł na kawałku skóry z przodu szyi. Ale przedtem go przeprosił, że jest człowiekiem honorowym i nie może ^{nie}/respektować przegranej. Potem poszedł do naczelnika i powiedział: przepraszam, ale ja przegrałem go w karty. Przegrał go normalny robotnik, więzień, jeden z tych, którzy tam siedzieli.

I pomyślałem sobie wtedy, że to jest szczyt. Ale ~~nie~~ okazał się, że nie. O szczycie usłyszałem dopiero w Polsce. Jak mój przyjaciel z Gdańska, już po powrocie, powiedział mi, w jaki sposób czekał na swoją kolejkę, a to był AKowiec. Czekanie to jest jeden z głównych elementów destrukcji oskarżonego. Czekał, czekał i czekał do sędziego śledczego, ale to było w Polsce, i pytał go Polak, i sądził go Polak. ~~Czy~~ Chyba, że już dostał wyrok, to go wieźli z jednego niepodległego kraju do drugiego niepodległego kraju, żeby tam odsiedział.

I jak siedział, opowiedział mi o czymś, co dopiero dla mnie jest szczytem. Jednocześnie przesłuchiowano na dwóch biurkach obok. To było w Gdyni. Obok przesłuchiowano jednocześnie

mniej więcej szesnastoletnią dziewczynę z AK. Zaczął facet, który przesłuchiwał tę dziewczynkę, od tego: no to co, będziesz mi druta ciągnąć? Dziewczyna nie wiedziała, o co chodzi, więc wyjął tego interesu z rozporzeka i powiedział: o, to będziesz lizać jak ta lala, a ta szesnastoletnia dziewczyna, siedząca naprzeciwko, z oczami zaokrąglonymi do ostatecznych granic patrzyła na to wszystko i nie rozumiała, o co chodzi.

Wtedy, jak on mi to opowiadał, zrozumiałem, że tamto wszystko to było sprawą męską, ja mężczyzna, ty mężczyzna, ja przeciwnik, ty przeciwnik i będziemy ze sobą ~~włączyć~~ do ostatniej krwi. Natomiast tamto mnie zważyło z nóg, to już nie jest w ogóle ludzkie. Ci ludzie - mówię o tym gwoli przestrogi - po pewnym czasie orientowali się, że przyjęta przez nich pozycja jest trochę zbyt niebezpieczna i przechodzili na drugą stronę, pomalutku przechodzili na drugą stronę, ci przesłuchujący, oni moralnie się uzupełniali, żeby tak to określić, i stawali się pozytywnymi członkami Peerelu. Dzisiaj niektórzy z nich wchodzą do takich czy innych zarządów, bo zrozumieli swoje drobne uchybienia.

Jeżeli ~~jeszcze~~ jestem mało dumny, że jestem członkiem społeczeństwa, w którym jeden drugiego utopiłby w łyżce wody albo w kaszy zjadł, o tyle jestem dumny, że jestem członkiem narodu, który nie grabił i nie podbijał, tylko walczył o swoje, a jeżeli był na obcej ziemi to w odwecie albo dla postrachu. Gdy patrzę na takich ludzi i myślę, że to mają być członkowie mojego narodu, to nie wierzę. Myślę, że to są ludzie nasłani z innych narodów. Nie wierzę, żeby w moim narodzie był człowiek, który wypełni rozkaz: weź to dziecko za nóżki i kłęb o ścianę. Jeżeli są normalni, nie pijani do nieprzytomności i zdrowi psychicznie.

Jak usłyszałem o tych rzeczach, postanowiłem tropić facetów. I wytropiłem, takiego jednego, okazało się, że to nie jest Polak. Wtedy spadła ze mnie ta skońpupa współwiny, zrozumiałem, że to byli ludzie przysłani, że w moim narodzi aż takich nie ma.

I ilekolwiek był przeszedł tam, za ^Aregiem Polarnym, najprzeróżniejszych sługusów tego, co się nazywało stalinizm, ilekolwiek bym przecierpiał tam, to wszystko to jest niczym w porównaniu z tym, że tu ludzie, którzy poświęcili wszystko, żeby ratować ten naród i ten kraj, jak ta dziewczynka, znaleźli się przed tymi tak zwanymi sądami, które usiłowały z nich robić szmaty. Co miało zrobić takie piętnastoletnie dziecko, taka dziewczynka? Mogła się modlić tylko o śmierć. Trzeba mieć trochę wyrozumiałości dla ludzi, którzy ugięli się, bo ich naginano w sposób straszliwy, przerażający. I robili to ludzie, którzy na całe szczęście nie byli Polakami

Gdybym był zupełnie trzeźwy, nie mógłbym o tym mówić. To są sprawy pozbawione cech ludzkich.

Jeżeli ma pozostać jakaś przestroga dla innych, to ta przestroga brzmi: jest jedna jedyna wartość, która może zdecydować o wartości człowieka. To się nazywa prawda bezprzymiotnikowa. /dalej rozważania o gatunkach prawdy/. Oczywiście w dziedzinie faktu.

Mam przyjaciela bardzo starego, którego zaprzysięgał Witołd Pilecki, zaraz po klęsce wrześniowej, w 1945 roku. ^{Opowiadał, że} Ten człowiek ^{Pilecki} dobrowolnie podjął się nieludzkiego zadania - przeniknięcia do Oświęcimia. Złapano go w łapance, przedostał się do Oświęcimia, zorganizował ^{wpisani} ruch oporu. Potem we trzech uciekli, zdał sprawę na Zachodzie relację z Oświęcimia, która wzbudziła niedowierzanie. Zamieszkał po powrocie do Polski u mojego przyjaciela przy ul. ^Fkańskiej 85 m 6. Z tego

mieszkania został wzięty razem z rodziną, u której zamieszkał na krótkie przesłuchanie, - ojciec, matka i on, gość, w 47 roku ku i on, gość; ~~W~~ w domu został 15-letni syn. "ama wróciła po 6 latach, ojciec po 9,5, Pileckiego zgładzono.

To, co ja przeszedłem tam, to wiedziałem, że byłem u wrógów, że wzięto mnie jako człowieka, który powiedział: Lwów był wasz ostatni raz w 1340 czy 41 roku. I wróg mnie wziął, dał mi w tyłek, wróg ze mną walczył, wróg mnie niszczył. Ale jeżeli chodzi o Pileckiego, to on wrócił do kraju, do swoich, i ci swoi go zgładzili. Moje smutki, gehenny, są niczym wobec tej młodej dziewczyny, która oddała swoje dzieciństwo, swoją młodość, swoje ideały Polsce i kazano jej lizać członka jakiegoś strażnika; albo losu Pileckiego.

Nie rozumiem, że Polacy którzy męczyli w ten sposób Polaków, pozostali, i są wśród nas.

Konkluzje -

- można umrzeć z głodu i chłodu i nie wiedzieć co to głód i chłód.

- można zginąć w kazamatach i nie wiedzieć co to są autentyczne męczarnie ducha, jak wtedy, gdy razy zadają swoi.

Jeżeli o coś warto walczyć, to o oczyszczenie narodu, z tych, którzy udają ten naród, jego członków, udają wartość, której nie ma. To jest jakaś zaraza, obrzydliwa, dżuma, która wymaga antybiotyku. Krew narodu trzeba oczyścić.

W Rosji spędziłem 6,5 lat. Ale nie cały czas, ^{na Potwoy} jak przyszedł Sikorski, w 43 roku to się skończyło, wszystko pękło, niby byliśmy wolnymi ludźmi. I chciałbym kategorycznie oświadczyć, że jeżeli cokolwiek mówię o tych obozach, to był człowiek, który na ten temat napisał w sposób ~~pr~~ bezprzykładny, w sensie pozytywnym, w sposób, w jaki ja napisać nie potrafię, bo to

była poetka najwyższego lotu. Mówię o Beacie Obertynskiej, "W domu niewoli". Wszystko, co ja tu opowiadam, można tam wyczytać. To jest prawda napisany w sposób prawdziwy. Kto jest zainteresowany tym tematem, powinien czytać nie Solżenicyna, tylko Beatę Obertyńską. Toż jest ucziwe.

Najgorszym wrogiem jest wróg wewnętrzny. /Rozważania o wrogach/.

Od 43 roku mieszkałem jako niby wolny człowiek w Kijowie. Jak wielu Polaków, nabrałem się na nazwę Związek Patriotów Polskich. Ale jeżeli ktoś proponuje mi wstąpienie do instytucji, która nazywa się Związek Patriotów Polskich, to jak ja mogę w ogóle odmówić? Nie mając zielonego pojęcia, co to jest. ~~bo~~ sama nazwa. Więc oczywiście wstąpiłem.

Jestem w Czernichowie, otrzymuję telegram, żebym przyjechał do Moskwy. Podpisany jest ten telegram przez panią Bristiger. Na ~~podstawie~~ ^{podstawie} tego telegramu, który jest napisany na gazecie, tak wtedy na gazecie te telegramy były pisywane, idę do odpowiedniego urzędu, jakiego komatu czy czegoś, wojenkomat, szmank~~mat~~ ^{oma}, i tak dalej, czyli komisariatu czegoś tam. Poszedłem, uzyskałem skierowanie do Moskwy i pojechałem. Oczywiście telegram został w Czernichowie, w tym urzędzie. Przyjechałem do Moskwy, zwróciłem się na ulicę Puszkińską do Związku Patriotów Polskich i zgłosiłem się do pani Bristigerowej, że nazywam się tak a tak i przyjechałem, bo mnie wzywała. Na co otrzymałem odpowiedź: ~~że~~ nikt pana tu nie prosił. Jeżeli teraz nie podbiją mi mojej kamandirówki, że byłem tu, murowanie czeka mnie 5 lat. Mur-beton. Jak to, mówię, miałem telegram. Proszę pokazać. No, nie mogę pokazać, zostawiłem w Czernichowie. Myśmy nie wzywali żadnego pana M. Jestem zrozpaczony, wiem, że czeka mnie dosłownie 5 lat - nie mam podbitego skierowania, znaczy pojechałem samowolnie, bez żadnego wyzwu,

wyzowu, czy jak tam to nazwać, nie wiem co robić. Ale ponieważ mam mentalność lwowską, czyli tatarską, idę na pocztę główną na ulicę Gorkiego i robię nieprawdopodobny rejwach, proszę mi tu natychmiast kopię tego telegramu, jakaś przerażona urzędniczka pewna, że ma do czynienia co najmniej z bratankiem Stalina, leci i o dziwo, znajduje kopię tego telegramu, podpisanego Bristiger. Jestem o kulach, od 39 roku o kulach. Biorę ten telegram, spasiba, wyrywam jej go z ręki i uciekam, dziewczyna zgłupiała, nie będzie za mną biec. Lecę na Puszczińską i mówię: proszę pani, do tejże Bristigerowej, która jest już wściekła, proszę pani, pani jednak wysłała mi telegram. Żadnego telegramu! - wrzask, pisk, krzyk. Na co ja odpisuję na boku na kawałku papieru tekst tego telegramu i podaję jej. Pani Luna Bristigerowa nie wiedziała oczywiście, że podałem jej kopię. Podarła mi to. "Niemożliwe! wykluczone!". Ja na to: takim idiotą to ja nie jestem, żebym pani dawał oryginał, ja oryginał mam w kieszeni. Wezwała sekretarkę i krzyczała: kto kazał to podpisać?! Sekretarka powiedziała: wy. Ona zgłupiała, zaczęła się tłumaczyć, w rezultacie podbito mi tę moją kaman- dirowkę. Gdyby mi jej nie podbito, czekałby mnie wyrok. To istotny i ważny przykład, jak łatwo było manipulować wtedy ludzkim życiem - na przykład wysłać telegram i nie przyznać się do niego. Wsadzić na lata więzienia. Bristigerowa była wściekła, ale ja wróciłem do Kijowa.

To jest jeden z przykładów na metody postępowania ludzi, którzy według doskonale sobie wiadomego systemu wszczepili w Polsce stalinizm.

W Kijowie byłem zastępcą przewodniczącego ZPP na województwo kijowskie. Jeździłem do ?gorodka, Sacharow, takie różne miejscowości, w których byli Polacy. Byłem kierownikiem

transportu powrotnego Polaków z Ukrainy do Polski. To było w 46 roku. ~~Przyjął nas~~ Człowiekiem, który nas spotkał na granicy i poczęstował polewką, co było dla nas niebywałym ulżeniem - polewką z mąki - był ksiądz. Wtedy przyleciał jakiś wściekły sekretar i zaczął się wściekać, że nas ksiądz przyjął. Na co ja odpowiedziałem; trzeba było nam zrobić polewkę. Potem pojechałem do Wrocławia i wstąpiłem na uniwersytet.

W Kijowie chodziłem o kulech. Jeździłem do tych Polaków, którzy nie wyjechali z Andersem. Śpiewałem, starałem się coś pisać, ale to było ryzykowne.

Trudno sobie wyobrazić pewne rzeczy, jeżeli się ich nie przeżyło. Poszedłem na film "Gandhi". Obejrzałem i wyłem ze śmiechu bo sobie wyobraziłem sytuacje z tamtych stron. Jakby przyszedł taki Gandhi i powiedział: ja głoduję, to by mu powiedzieli: to naser... tobie mater! ty głoduj! Jak on umrze, to wszyscy nareszcie odetchną! Świat zachodni nigdy nie zrozumie, ile dla Wschodu jest dwa razy dwa. Nie rozumie, że wszelkie prawo na wschodzie obowiązuje jednakowo od czasów Dżyngis Chana, który wychodził i mówił: jeżeli się poddacie, to zabiję kogo zechcę, a jak się nie poddacie, to zabiję wszystkich. I się poddawali. To są prawa rządzące innym rodzajem cywilizacji. I ten podział cywilizacyjny - religii, alfabetu, języków, 4 wyznań, 3 arcybiskupstw, dwóch kachałów /?/, 11 bóżnic - ten podział Wschodu z Zachodem i Północy z Południem szedł przez Lwów.

Teraz Lwowem stała się cała Polska.

We Lwowie przed wojną było 70% Polaków. W tej chwili do języka ojczystego polskiego przyznaje się 3 promille. Gdzie jest reszta? Warszawa, Moskwa, Lima, Timbuktu, Południowa Afryka, Islandia, Irkuck, Japonia, Chiny, cały świat.

Nagrano w Lutym 1989
KONIEC